
W Wadowicach międzywojennych

Wadoviana : przegląd historyczno-kulturalny 3, 109-114

1999

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez **Muzeum Historii Polski** w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

W Wadowicach międzywojennych

*Fragmenty książki Darcy O'Brien, **Papież nieznan**, wydanej przez Jacek Santorski & CO Wydawnictwo. Książka powstała głównie na podstawie relacji Jerzego Klugera, przyjaciela papieża z lat młodości, absolwenta wadowickiego gimnazjum (rocznik 1938), uczestnika walk w II wojnie światowej. Po wojnie J. Kluger zamieszkał w Rzymie.*

Ojciec J. Klugera, Wilhelm był także absolwentem wadowickiego gimnazjum, żołnierzem Wojska Polskiego, a w czasie II wojny światowej służył w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie. W okresie międzywojennym był znanym w okolicy adwokatem. Pełnił również funkcję prezesa wadowickiej Gminy Żydowskiej, podobnie jak i jego ojciec Zachariasz (dziadek Jerzego), który był właścicielem sklepu konfekcyjnego.

(...) W latach dwudziestych i trzydziestych w Wadowicach mieszkało około dziesięciu tysięcy ludzi, w tym osiem tysięcy rzymskich katolików. Resztę, poza jedną rodziną ormiańską, stanowili Żydzi.

Gdyby, co mało prawdopodobne, przybył tam ktoś z którejś z zachodniej metropolii, pomyślałby, że Wadowice nie zauważyły nadejścia dwudziestego wieku lub że to wiek dwudziesty ominął to miasteczko. Nawet w połowie lat trzydziestych w samych Wadowicach i okolicy było zaledwie pół tuzina samochodów; najbardziej eleganckim z nich była skoda rapide należąca do pewnego właściciela ziemskiego, który trzymał ją przed swoją willą. Nie spotykało się też zbyt wielu rowerów. Nadal były popularne małe, konne powozy. Do przewożenia towarów używano furmanki, której woźnica utrzymywał równowagę na szeroko rozstawionych nogach, ścigając lejcami silnego, pociągowego konia. Mężczyźni i kobiety w czerwono-białych chłopskich strojach - kobiety w długich, haftowanych spódnicach, o twarzach zaczerwienionych od zimna, wiatru i słońca, trzymali się razem. Sklepikarze i ludzie wolnych zawodów nieodmiennie nosili skromne garnitury.

Wszyscy mieli powody, by przychodzić na Rynek. Na południe od kościoła znajdowała się restauracja połączona z centrum handlowym, należąca do burmistrza, pana Kluka, który słynął z tego, że zamawiał dwie pary butów dla swego psa w sklepie obuwniczym pana Baty po drugiej stronie ulicy. Był również sklep papierniczy Fischgrunda, gdzie sprzedawano także artykuły tytoniowe, apteka Homme'a, księgarnia Foltina, trzech zegarmistrzów, a nawet szklarz. Na Rynku można było znaleźć prawie wszystko, albo po prostu powalęsać się radując pulsującym tam życiem, posłuchać stukotu kopyt i dobrze znanych żartów. Często grywali tam uliczni muzycy, a przechodnie wrzucali grosze do ich kapeluszy.

Podczas niezłej pogody można było oczekiwać ujrzenia tam pewnego rytuału. W jakikolwiek dzień powszedni po południu pojawiały się tam znajome postacie-po Rynku spacerował ksiądz w średnim wieku ze starszą kobietą. On, chudy i wysoki, zawsze w sutannie; ona, niska i pochylona, poruszała się z coraz większą ostrożnością w miarę pogarszania się wzroku. Ksiądz, szarmancki i pełen sza-



Fragment południowej pierzei wadowickiego Rynku na pocz. XX w. W pierwszym budynku (od lewej) mieścił się sklep Klugerów. (z arch. ZHZW)

cunku dla jej dostojności i wieku, podtrzymywał ją delikatnie za łokieć. Kiedy tak szli przez wybrukowany Rynek, dyskutowali gestykulując wolnymi rękami. Wyglądali jak matka z synem, ale nie byli nimi.

Poza tym, że zachowywano wobec nich pełen szacunek dystans, by nie zakłócić ich rozmowy, o czymkolwiek mówili - czyimiś małżeństwie czy cenie jaj - nikt nie zwracał na nich szczególnej uwagi. Podobnie jak targowisko w czwartki czy parady w imieniny marszałka Piłsudskiego i Święto Niepodległości stanowili po prostu integral-

ną część Rynku, niemal jak stara studnia u stóp schodów Ratusza. Widywał ich każdy, ponieważ wszyscy się tam zbierali, albo na krótką popołudniową modlitwę w kościele pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny, albo by kupić importowane owoce cytrusowe we wspaniałym sklepie kolonialnym pana Rzyckiego czy słodycze w cukierni pana Hagenhubera. W jedno- i dwupiętrowych kamienicach z cegły i kamienia otaczających Rynek znajdowało się około piętnastu sklepów.

Rytuał spotkań księdza i starszej kobiety był zawsze taki sam. Kanonik Prochownik pojawiał się przed drzwiami domu pani Huppertowej na rogu ulicy Zatorskiej, po północnej stronie Rynku, gdzie ona już na niego czekała, parując z parasolką, jeśli świeciło słońce. Biorąc ją pod ramię, prowadził ją stroną Rynku, gdzie znajdowała się księgarnia pana Foltina; tam przystawali, by popatrzeć na wystawione w witrynie książki. Dziewczynki i chłopcy w mundurkach pośpiesznie wchodziłi i wychodzili z księgarni; kupowali tam swe szkolne podręczniki. Para ta posuwała się wolno w kierunku kościoła, mijając go pogrążona w rozmowie, przechodząc na prawo.

Nie muszę dodawać, że nigdy nie wchodzili do kościoła ani nie żegnali się przechodząc obok tego świętego miejsca. Pani Anna Huppertowa była Żydówką. Na dodatek jej zięć, podobnie jak przedtem jej teść i mąż, był prezesem gminy żydowskiej w Wadowicach. Żydzi w tym mieście, którzy mieli znacznie lepsze stosunki z katolikami, niż to bywało w innych miejscach w Polsce, liczyli na otwarte, choć dyskretne przywództwo jej rodziny, umożliwiające obydwom światom życie we wzajemnej tolerancji i szacunku. Przyjaźń pani Huppertowej z ks. kanonikiem Prochownikiem była ważnym sojusznikiem w sprawie pokoju. Jej zięć, adwokat Wilhelm Kluger, zawarł przyjaźnię z innymi katolikami, które były równie ważne i niezwykłe.

(...) Za każdym razem kiedy ks. Prochownik towarzyszył pani Huppertowej podczas przechadzki po Rynku, znaczyło to, że pomiędzy katolikami i Żydami wszystko układa się pomyślnie.

(...) Zakazane było także chodzenie do jedyne go kina w Wadowicach, kina

Wysogłada, w którym prawie żaden z kiepskich granych tam filmów nie był dozwolony poniżej osiemnastego roku życia.

Kiedy afisz na zewnątrz oznajmiał, że by dozwolony, stanowiło to dostateczny dowód, że nie był wart fatygi. Jurek kiedyś omal nie wyleciał ze szkoły - przynajmniej tak sądził - gdy pewnego wieczoru jego nauczyciel łaciny przytapał go w kinie z kolegą i fryzjerkami z salonu piękności. Zastanawiał się, czy babcia Huppertowa przypadkiem o tym komuś nie doniosła. Odkryto ich, jak tylko zapaliło się światło; zostali złapani jak grzeszni kochankowie, co nie miało nic wspólnego z prawdą. Byli raczej chłopakami, którzy odważyli się na przygodę. Za karę biednemu Jurkowi zabroniono wyjechać na wycieczkę do Zakopanego.

Ujrzenie Glorii Swanson w *Dziś wieczór lub nigdy* zapewniło chłopcom więcej ekscytacji, niż mogłoby się spodziewać. W tamtych przyzwyczajonych czasach, kiedy nie istniały szkoły koedukacyjne, kontakty z dziewczynami miały miejsce jedynie podczas tańców lub na ślizgawce w ciągu ostatnich lat gimnazjum.

(...) Lolek, Jurek i ich koledzy mieli tyle różnych rzeczy do wyboru, które mogli robić w wolnym czasie, zupełnie jakby Bóg stworzył świat dla młodych. Latem było pływanie w Skawie i spacerowanie na działkę babci Huppertowej, gdzie zbierali wiśnie i najadali się nimi, aż ich bolały brzuchy. Zimą jakakolwiek zmiana pogody oznaczała wypad na pobliskie wzgórze na kilkugodzinną jazdę na nartach. Jakieś półtora kilometra za miastem wojsko zbudowało coś w rodzaju skoczni, gdzie chłopcy mogli trenować skoki. Często Lolek i Jurek wędrowali we dwóch z nartami na ramionach, zapuszczając się wystarczająco daleko, by niepokoić się wilkami, a potem ścigali się do domu, gdy robiło się ciemno (w styczniu już o trzeciej po południu). Jakikolwiek zamarnięty staw kusił, by zaimprovizować grę w hokeja. Kije odłamywali z drzew, a jako krążek służył im kamień lub kawałek drewna.

Po drugiej stronie rzeki znajdowała się „Wenecja”, restauracja włoska jedynie z nazwy. Było tam dość romantycznie - latem mieli piękny ogród i własne korty tenisowe. Było to popularne miejsce spotkań rodzinnych. W mroźne, zimowe wieczory zalewano kort i w ten sposób powstawało lodowisko. Oświetlano je kolorowymi światełkami, a goście ślizgali się w rytm walca puszczanego z gramofonu.

Mieszkańcy Wadowic w różnym wieku spotykali się tutaj na ślizgawce. Jurek próbował jeździć z Lolkiem i innymi chłopcami i dziewczętami z dala od baczniego spojrzenia matki. Istniało wielkie prawdopodobieństwo, że zawstydzi go ostrzegając, by przestał robić zamieszanie i nie ryzykował złamanie karku przez brawurowe skoki. Sama jeździła na łyżwach bardzo dobrze, w przeciwieństwie do ojca, który odważał się wyjść na lód, przewracał się i wracał do swego kieliszka brandy, co bardzo bawiło Jurka. Tesia, z jej piruetami, wirowaniem z ciałem odchylonym w tył, płowymi włosami omiatającymi lód, była najlepsza ze wszystkich. Ludzie przystawali, by ją podziwiać, i bili brawo.

(...) Nie jest prawdą, że Lolek stronił od towarzystwa dziewcząt. Spotykał się z nimi prawie codziennie w kółku dramatycznym na próbach. Najbliżej przyjaźnił się z Reginą Beer, starszą od niego o dwa lata Żydówką, asystentką profesora Kotlarczyka, oraz z Haliną Królikiewicz, której ojciec, Jan, był dyrektorem gimnazjum dla chłopców i także uczył Lolka greki. Trzecią była Kazia Żak, wysoka, wiotka piękność. Otaczająca ją aura tajemniczości i czegoś nieuchwytnego doskonale



Synagoga w Wadowicach. (arch. ZHZW)

pasowała do abstrakcyjno - poetyckiego charakteru repertuaru polskiego Romantyzmu.

Halina, królewska blondynka, która podobnie jak Lolek emanowała dojrzałą godnością arystokratki, często grywała jako jego partnerka główne role kobiece. Przy jednej pamiętnej okazji, przedstawienia *Balladyny* Słowackiego, grała u boku dwóch bardzo różnych Lolków. Jednym był umierający młodo bohater, a drugim zło-

czyńca, który jest centralną postacią ostatniego aktu. Stało się tak, ponieważ ojciec Haliny zawiesił chłopca, który grał szubrawca Kostryna; wydaje się, że aktor groził nauczycielowi przemocą z powodu oceny niedostatecznej. Lolek, którego powiadomiono z czterdziestoosmiodzinnym wyprzedzeniem, zmienił kostium szlachetnego Kirkora, by zagrać Kostryna, i bez problemu wystąpił w obydwu rolach. Nauczył się wszystkich kwestii i powiedział o tym Halinie, zupełnie jakby to były normalne przygotowania każdego aktora

Może tak jest - powiedziała mu - dla ciebie!

Halina nie czuła się onieśmielona pamięcią Lolka czy jego wspaniałą prezentacją Tych dwoje prowadziło raczej ze sobą coś w rodzaju rywalizacji - co dodawało jeszcze życia przedstawieniu. Bez wątplenia była to przyjacielska rywalizacja, ale obydwójce otwarcie przyznawali się do niej. Jej punk kulminacyjny nastąpił, kiedy Kazimiera Rychter, jedna z największych polskich aktorek, zorganizowała w Krakowie konkurs recytatorski, którego była też sponsorką. Lolek wybrał trudny urywek z *Promethidiona* Cypriana Norwida, wysoce filozoficzny dialog związany z historią Polski. Halina zdecydowała się recytować coś bardziej bezpośrednio ludzkiego i emocjonalnego, polską ludową bajkę. Lolek uplasował się na drugim miejscu, tuż za Haliną.

- Pokonałaś mnie tym razem - powiedział i w jakiś sposób znalazł pieniądze, by kupić jej kwiaty.

(...) Wśród wszystkich wysiłków mecenasa Klugera, by doprowadzić do porozumienia pomiędzy wyznaniemi, zdecydowanie wyróżniał się dialog poprzez muzykę. Odkąd Jurek pamiętał, kwartet smyczkowy, który ojciec zorganizował, spotykał się na cotygodniowe próby w domu na Zatorskiej, gdzie ćwiczył za zamkniętymi drzwiami w jadalni. Poza doktorem Klugerem, który grał pierwsze skrzypce, wśród muzyków był jeden Żyd, bardzo tęgi i łysy dentysta, Goldberger, ojciec Poldka, który mieszkał w mieszkaniu na górze. Goldberger grał na wiolonczeli na zmianę z inżynierem Góreckim, który pochodził z rodziny arystokratycznej i był zawsze elegancko ubrany. Lubił mimochodem wtrącić jakieś francuskie wyrażenie, jak na przykład „*C'est mon violon d'Ingres*”, co znaczyło, że podobnie jak skrzypce francuskiego malarza, dla niego muzyka była tylko hobby. Był to stylowy sposób wyjaśnienia częstych pomylek. Inżynier Zagórski, którego żona musiała udzielać lekcji gry na

pianinie, ponieważ jego interesy nie szły dobrze, i którego gra była równie posępna jak jego wygląd, grał drugie skrzypce. Mecenasa Kamiński grał na altówce; jego córka była koleżanką z klasy Tesi i jej najlepszą przyjaciółką. (Jurek lubił mawiać, że dziewczynki uzupełniały się świetnie nawzajem, ponieważ obydwie były blondynkami, lecz podczas gdy nos Tesi był pochylony do dołu, nos jej przyjaciółki celował w gwiazdy.) Mikołaj Kuczkowski, inny katolicki adwokat, który dopiero co otrzymał dyplom, czasem zastępował kogoś na skrzypcach.

Lolek stopniowo stał się praktycznie członkiem zespołu, choć nie grał na żadnym instrumencie. Jego miłość do muzyki, która wyrażała się śpiewaniem w chórze szkolnym i w kościele, była tak głęboka, że przychodził prawie każdego wieczoru, kiedy ćwiczył kwartet. Siedział cichutko i słuchał pod drzwiami jadalni, podczas gdy Jurek, który wolałby być w kinie, przykucał w sąsiednim pokoju z uchem przy radiu lub słuchał albo leżał rozwalony na podłodze budując modele samolotów. Już w 1937 roku doktor Kluger pozwolił Lolkowi siadać w kąciku wewnątrz sanktuarium, a on pochłaniał Beethovena czy Mendelssohna z tak absolutną koncentracją, że Jurek drażnił się z nim mówiąc, iż stanie się częścią umeblowania, jak krzesło babci Huppertowej czy stojące na pianinie marmurowe popiersie pani Klugerowej.

Czasem, jeśli w jakimś utworze potrzebne było pianino, grała pani Klugerowa, lecz zwykle nie trwało to zbyt długo, gdyż jej wykonanie nie spełniało oczekiwań męża i złościł się na nią. Przez cały ten czas Lolek siedział w nieruchomym zachwycie na prostym krześle obok kredensu, w którym przechowywano rodzinne patery, srebra i menorę.

Po próbie atmosfera nieco się rozluźniała, kiedy mężczyźni wypili parę kieliszków śliwownicy z butelki przynieszonej przez Anielcię, kucharkę i gospodynię całego domu, z dobrze zaopatrzonej piwnicy babci Huppertowej. Palili, żartowali, a czasem oferowali chłopcom po łyku stuletniej śliwkowej brandy.

Lolek przychodził także, by posłuchać dużego radia Klugerów, zawsze najnowszego i najlepszego modelu. Kiedy nie kręcił gałką, by znaleźć jakieś muzyczne czy inne audycje nadawane z Warszawy, Lipska czy nawet Paryża lub Londynu w czyste noce, przekonywał Jurka by nastawił na gramofonie muzykę klasyczną, na co tamten się zgadzał, lecz na zmianę z tanecznymi rytmami. To właśnie miłość Lolka do muzyki zaprowadziła go do synagogi.

Ta okazja była kolejną i najśmielszą próbą doktora Klugera znalezienia płaszczyzny porozumienia obydwu religii poprzez muzykę. Około roku 1936 Mojsze Kusewicz, najmłodszy z wielkiej linii kantorów i śpiewaków operowych, który już w wieku osiemnastu lat siał ze swego wysokiego tenoru, został przysłany do Wadowic w celu odfycia służby wojskowej. Już wtedy, w obliczu całej tej hysterii antysemickiej, mówiło się o usunięciu Żydów z wojska, co byłoby krokiem wprowadzającym ogromne zamieszanie, jako że wówczas było w polskim wojsku dobrze ponad sto tysięcy Żydów pełniących służbę oraz, jak doktor Kluger, będących w rezerwie.

Traktując to jako sprawę zarówno polityczną, jak i wydarzenie kulturalne, doktor Kluger załatwił, że Kusewicz zastąpi śpiewającego zwykle kantora, i zaprosił

kilku katolików, w tym członków kwartetu, Lolka oraz jego ojca. Był to w tamtych czasach i miejscu gest niezwykle i wielce dramatyczny. Występ śpiewaka klasy Kusewickiego (już wtedy porównywano go z Enrikiem Caruso i Johnem McCormackiem) w tak prowincjonalnym mieście jak Wadowice, był wydarzeniem bezprecedensowej wagi. Co prawda ludzie mieli nadzieję, że wystąpi przed publicznością, ale nic nie było ustalone. Tak więc śpiewanie sobotnich modlitw w synagodze było tym bardziej wydarzeniem ekscytującym i niecierpliwie oczekiwanym.

Wszyscy katolicy (pułkownik Jaklicz i inni ważni ludzie), których doktor Kluger zaprosił, przyjęli zaproszenie. Choć raz był to przywilej dla chrześcijan znaleźć się wśród Żydów. Żaden z tych katolików nie przekroczył wcześniej progu synagogi.

Kusewicki przybył do synagogi w sobotni poranek w mundurze. Towarzyszyło mu około pięćdziesięciu żydowskich żołnierzy, którzy jak zwykle przemaszerowali z koszar Dwunastego Pułku Piechoty ulicą 3 Maja do świątyni, z jej wysokimi, łukowo sklepionymi oknami i kopułą pokrytą miedzią. W środku zamiast włożyć jarmulkę, Kusewicki z dumą nosił swą wojskową czapkę. Stał przed tą mieszaną publicznością uśmiechając się dumnie.

Jurek siedział pomiędzy Lolkiem i swym ojcem, tym razem absolutnie neruchomo. Od pierwszych czystych nut świętych pieśni, wśród których były *Ismach Mosze* („*Mojżesz będzie się radował*”), *Brich Szme* („*Niech będzie błogosławione Jego imię*”) w języku aramejskim i *Tikanta Szabbat* („*Tys stworzył szabat*”), modlitwa, która pewnego dnia miała uczcić szabat w Jerozolimie. Śpiew Kusewickiego zapiera dech w piersiach. Oczarował swą publiczność, której część nigdy dotąd nie słyszała tych żałośliwych melodii, dobrze znanych każdemu Żydowi. Jurek co chwila zerkał na swego przyjaciela, który wyglądał jakby słyszał śpiew anioła.

Potem Lolek był jak zwykle dociekliwy i zasypywał Jurka pytaniami na temat pochodzenia i znaczenia tych śpiewanych modlitw. Jurek starał się jak mógł, by mu odpowiedzieć. Myślał, że niektóre z nich wywodziły się z czasów biblijnych, a jedna była w języku aramejskim, którego używał Jezus, zdawała się napelniać Lolka szczególną przyjemnością i fascynacją. A Jurek nareszcie był zadowolony z tych wszystkich sobót, które spędził w świątyni ucząc się czegoś! Katolicy goście gorąco dziękowali mecenasowi Klugerowi i rabbiemu Seltenreichowi za zaproszenie ich na ten cudowny wieczór. Dla Żydów był to moment jedyny w swoim rodzaju. Choć raz przynajmniej kilku chrześcijan doświadczyło piękna i dostojności starszej wiary, religii, którą łatwiej jest stosować w życiu niż wyjaśnić, wiary, której rdzeń był jak muzyka, nie do wypowiedzenia słowami.

W ciągu następnych tygodni Kusewicki wystąpił jeszcze publicznie w Sokole, w repertuarze znalazły się zarówno włoskie arie, jak i polskie pieśni. Wadowice miały wielu miłośników muzyki; na koncert licznie przybyli przedstawiciele obydwu wyznań. Wszyscy zdawali się być zgodni co do tego, że te występy stanowiły najważniejsze i najmiłsze wydarzenia kulturalne, jakie miasto pamiętało. Lolek i Jurek obaj mieli poczucie, że nic nie mogło się równać z tą sobotą w synagodze.

(wyboru dokonał Marcin Płaszczycza)

Druk za zgodą wydawcy